



MAGAZYN OPINII

Pismo

WRZESIEŃ 2024 | NR 9 (81)

ESEJ

**Jak mężczyźni
wykorzystują
nastolatki**

**Pochwała altany
śmietnikowej**

**Francja.
Krajobraz
po bitwie**

Z PISMEM U...

**Marka Harata,
neurochirurga**

REPORTAŻ

**Ochrona przyrody
szkodzi Masajom**

CENA: 19,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

09>



9 772544 502401

MAGAZYN OPINII

Pismo

WRZESIEŃ 2024 | NR 9 (81)





89 zł
~~129 zł~~

Czytaj i słuchaj treści, które poszerzają horyzonty, inspirują do rozmów i refleksji.

Zamów **roczną subskrypcję „Pisma”**, a otrzymasz:

- dostęp do wszystkich audioseriali, w tym nowej reporterskiej historii *Saamowie. Wyrzut sumienia Skandynawii*,
- treści z miesięcznika w wersji na czytniki (PDF i EPUB) oraz audio,
- możliwość korzystania z wygodnej aplikacji mobilnej,
- felietony Magdaleny Bigaj, Andrzeja Andrysiaka i Pawła Marczewskiego oraz inne teksty dostępne tylko online.

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/prenumerata i skorzystaj z promocji. Oferta ważna do 30.09.2024.



Pismo.

WRZESIEŃ 2024

PROZA FELIETON

Autobus linii 107 | 6
JACEK PAŚNIK

2 | ROZMOWY Z K. **Zawiodła nieskończoność**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

Pieśń prorocza | 90
PAUL LYNCH

96 | **À propos seksualizacji dziewczynek**
ZUZANNA KOWALCZYK

POEZJA APTECZKA

Asperges me | 3
HUGO KLAUS

89 | **Co w niej trzyma...**
BENDIK GISKE, pyta MATEUSZ ROESLER

W porównaniu ze śniegiem | II
OLEH KOCAREW

ESEJ

Kamień strachu | 43
JULIA CIMAFIEJEWA

12 | **Lolita i starcy**
KAROLINA LEWESTAM wyjaśnia, co kryje się w spojrzeniu patrzących na młode kobiety

OBRAZ

W KADRZE **Monika i Dariusz** | 4
AMADEUSZ ŚWIERK

58 | **Syci i gniewni. O Francjach, które nie chcą się znać**
SZYMON ŁUCYK sprawdza nastroje po wyborach parlamentarnych nad Sekwaną

FOTOREPORTAŻ **Poczucie** | 44
MICHAŁ SIAREK, ILONA WIŚNIEWSKA

80 | **Świątynia i śmietnik**
GRZEGORZ PIĄTEK o pochwałach architektury codzienności

W RAMACH PISMA **Fasada** | 78
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o MONICE SOSNOWSKIEJ

Z PISMEM U...

ŻARTY RYSUNKOWE
KATARZYNA BELCZYK / POTATO FACE

32 | **Marka Harata, profesora neurochirurgii**
KALINA BŁAŻEJOWSKA pyta o kontrowersje wokół operacji psychochirurgicznych

REPORTAŻ

OKŁADKA **A gdyby to była twoja córka?**
MARTA FREJ

66 | **Wielka grabież ziemi w Serengeti**
STEPHANIE MCCRUMMEN o wysiedleniach rdzennych ludów Tanzanii

Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn Opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorki prowadzące: Katarzyna Kazimierowska (sekretarstwo redakcji),
Zuzanna Kowalczyk, Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Felieton: Karolina Lewestam,
Redakcja: Joanna Dolecka, Urszula Kifer, Sylwia Niemczyk, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Korekta: Ewa Bargiel,
Monika Marczyk, Dorota Śrutowska, Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład: Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szef marketingu i sprzedaży: Paweł Cybulski, Marketing: Mateusz Roesler, E-commerce: Anna Ostrowska,
Subskrypcje: Marcin Lipiec, Fundraising: Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.,

jak w ogóle można zostać dobrym człowiekiem? (...) Wszystko, co robię, wydaje mi się niewystarczające, głupie. Chcę na przykład oddawać niewielką część swoich dochodów na organizację [XY], której cele są mi bliskie. Ale kiedy już mam to zrobić, włącza mi się pytanie: a czemu tylko tyle, czemu nie pięć procent więcej? Czemu nie dwadzieścia? (...) Czemu nie oddam wszystkiego, a przynajmniej prawie wszystkiego? (...) I bardzo podobny problem: myślę o tym, żeby nie jeść mięsa. Z powodów etycznych, nie zdrowotnych. Mój partner zawsze wtedy argumentuje, że to bez sensu, bo uratuję może jedną czy dwie krowy w ciągu całego mojego życia, więc po co się trudzić na taką kropkę w morzu, zwłaszcza że przecież i tak zwierzęta będą dalej zabijane, a resztą nie da się przejść przez życie, nikogo nie krzywdząc. I jaka niby jest różnica między muchą a krową? (...) Pytanie zawsze jest, „Czemu nie zaadoptujesz stu dzieciaków z Afryki?”. I wtedy zawsze mi się odechciewa. Skoro nie można niczego w świecie zmienić, to może po prostu trzeba to olać i zajmować się sobą? Ale wtedy zawsze mam ogromne wyrzuty sumienia. Jestem relatywnie bogatą kobietą z bezpiecznego kraju, a więc mam szczęście, którego nie mają inni.

Alanis

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Zawiodła nieskończoność

Kochana Alanis,

pamiętasz słynną scenę z żukami w *Dziennikach Gombrowicza*? Na wszelki wypadek Ci przypomnę: Gombrowicz idzie po plaży i widzi żuka. Żuk, bidulek, przewrócił się na grzbiet; odsłonięty brzuch się parzy w słońcu, nogi żuka przebierają w powietrzu; wygląda to jak niema prośba o pomoc. Gombrowicz przewraca żuka, żuk odbiega, życie zostało uratowane. Ale niedaleko jest drugi żuk. Gombrowicz go też przewraca. Zaraz, obok jest następny! I następny! O rany, cała plaża jest usłana żukami przewróconymi przez wiatr! Co robić?

Gombrowicz biega od żuka do żuka; jest zmęczony – ale to, co nie pozwala mu spocząć, to pytanie filozoficzne: jakie ma prawo w ogóle przestać? I czemu miałyby przestać teraz albo, na przykład, teraz? Czemu właśnie ten następny żuk ma skończyć? Jak można przestać, wiedząc, że zaprzestanie równa się unicestwieniu? Zamiast więc się relaksować, Gombrowicz jak oszalały przewraca żuki; trwa to bardzo długo, aż wreszcie... nudzi mu się. Olewa resztę żuków i odchodzi. I, jeśli dobrze pamiętam, kładzie się na kocyku, aby zażyć słonecznej drzemki.

Alanis, przez tak wiele lat ta scena była dla mnie przypowieścią o tragicznym ludzkim ograniczeniu; ostrzegała przed paradoksalną naturą stworzeń, które mieszkają w nieskończonym wszechświecie, a z jakiegoś powodu zostały wyposażone w skończone sumienie. Mamy tylko jedną parę rąk, a przed nami rozpościera się nieskończony dywan umierających żuków (głodujących ludzi, cierpiących dzieci, ginących zwierząt). Jeśli zasadą moralną (myślałam), wedle której chcemy żyć, jest „pomóż cierpiącej istocie”, to nie możemy przestać przewracać żuków; musimy całe swoje życie poświęcić tym nieszczęsnym żukom! Dać nie pięć procent swoich dochodów, energii i uwagi – ale trzydzieści, pięćdziesiąt, sto, a nawet trzysta procent normy!

Ale rany boskie, jak to się fatalnie kończy. Człowiek jest półżywy; w końcu sam pada; leży na plecach i wymachuje wszystkimi czterema odnóżami, a słońce wypala mu podbrzusze (i je go nikt nie przewraca). I teraz zadajmy pytanie, patrząc na tego człowieka: kto zawiódł? Zawsze myślałam, że człowiek, ale teraz wiem, że to nieprawda. Zawiodła nieskończoność.

Bo ktokolwiek wymyślił, żeby tego bidnego człowieka postawić w nieskończonym wszechświecie, w którym panoszy się nieograniczona ilość cierpienia, to się nie popisał – zwłaszcza, jeżeli kazał mu się martwić tym cierpieniem i próbować je tępić. Dla tego człowieka totalność wymagań moralnych zawsze będzie tylko strasznym bólem głowy i wiecznym wyrzutem sumienia; będzie się plątał po plaży, łapał żuki, a potem po prostu rozłożył kocyk i zaśniesz, a śnić mu się będą odnóża po horyzont i jego Bardzo Wielka Wina.

Mój postulat do nieskończoności: niech przestanie wiecznie wysuwać roszczenia. Niech, do licha, pozwoli człowiekowi w spokoju uratować jedną czy dwie krowy, przewrócić z grzbietu kilka żuków i dać skromne pięć procent dochodów na wybraną organizację pożytku publicznego. Niech się odwali od nas, ta pieprzona, napuszona normatywnością, wiecznie wymagająca nieskończoność. Niech nas nie mierzy swoją nieludzką miarą.

Alanis, jestem przekonana, że jedyną drogą do bycia dobrym jest zdać sobie sprawę z własnych ograniczeń – i naciągać je tylko czasem i tylko troszeczkę. Bo są plaże pełne żuków i pola pełne maków, ale my mieszkamy w jednej, maleńkiej makówce. Pamiętasz wiersz Miłosza, Alanis?

*Na ziarnku maku stoi mały dom
Pieski szczekają na księżyc makowy
I nigdy jeszcze tym makowym psom
Że świat jest większy nie przyszło do głowy.*

Bądźmy czasem jak te pieski, Alanis, tego życzę i Tobie, i sobie – a wtedy może uczynimy wiele dobra w naszych małych makówkach.

POEZJA

Asperges me

HUGO CLAUS

—

Szparagami są na ogół panowie,
dojrzały i chętnie we własnym gronie.
Rzecz jasna są tam też panie
co w babie lato wnoszą jagody,
a reszta rośnie dziko i samopas
w Wenecji, w pierwszych dniach maja.

Czasem wydaję się sobie owym panem
(krnąbrnym i o chwiejnym sumieniu.
Nie można zjeść mnie całego, najpierw
trzeba mnie porządnie obrać ze skórki),

taki pan, kuzyn chmielowego kiełka
i skorzonery, hodowany w gorzkiej ziemi
gdy tylko na światło wychynie
zostaje porwany i ochoczo poszczypany.


I nawet jeśli się zreinkarnuję,
to nie orientalnie w chrząszczu
czy w napalonym psie
tylko jak za mojego życia
związany przez księżniczkę, szczerze
zblanszowany i na sztorc zarepetowany
wślizgując się w jej usta.
W długi zimowy wieczór
jej cicha wonna woda podrywać będzie
moje dalekie brzegi.

Z niderlandzkiego przełożył Jerzy Koch

HUGO
CLAUS

(1929–2008), flamandzki pisarz, poeta, dramaturg, reżyser filmowy i malarz, jeden z najczęściej nagradzanych pisarzy niderlandzkojęzycznych. Chorował na chorobę alzheimera, w 2008 roku poddał się eutanazji. Wiersz pochodzi z tomu *De Sporen (Ślady)*, który ukazał się w 1993 roku.





W KADRZE z cyklu *Jedni z nas*

Monika i Dariusz

zdjęcie i tekst AMADEUSZ ŚWIERK

—
Monika Zuber ma czterdzieści pięć lat i pochodzi z Białegostoku. Dorastała w rodzinie protestanckiej. Powołanie przyszło, kiedy po dwóch latach z powodów zdrowotnych musiała przerwać studia z architektury. Choć początkowo rodzina była przeciw, Monika poszła na teologię ewangelicką we Wrocławiu. Tam poznała o rok starszego Dariusza, swojego obecnego męża.

Monika czerpie z tradycji humanistycznej, jest feministyczną teolożką oraz doksztalca się z psychologii i terapii behawioralnej. Wierzy, że kobiety nadają się do roli kapłanek tak samo jak mężczyźni. W 2019 roku przyjęła święcenia w Kościele Ewangelicko-Metodystycznym jako jedna z pierwszych kobiet w Polsce. Nie zawsze jest jej w tej roli łatwo. Z oporem spotkała się nawet w strukturach polskiego Kościoła ewangelickiego. Pastorka zawsze mogła jednak liczyć na wsparcie męża, od dwunastu lat prowadzą razem Parafię Miłości Bożej w Ełku. W międzyczasie objęła też małą parafię w Starych Juchach, którą udało jej się reaktywować na pewien czas dla garstki wiernych.

Monika z Dariuszem wspólnie tworzą miejsce otwarte na każdego człowieka. W ich kościele nie ma anonimowości, stanowią żywą grupę wiernych. Po każdym niedzielnych nabożeństwie urządzają poczęstunek w zakrystii, gdzie wszyscy chętni mogą porozmawiać w przyjaznej atmosferze.

W Polsce służy dziś kilkanaście kobiet pasterek.

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na magazynpismo.pl/w-kadrze

Autobus linii 107

tekst JACEK PAŚNIK

Marcin

PRZYSTANEK WYGLĄDA jak oblegające go baby, razem z nimi się zestarzał i z resztą osiedla. Powyginana blacha z rdzewiejącym brzegiem, olejna biel i czerwień pomazane gdzie bądź: tu gwiazda Dawida, tam ktoś się żali, że ktoś inny zjebał mu życie, a kilka centymetrów dalej ktoś jeszcze powiesił na szubienicy Legię Warszawę.

Wzruszam ramionami i myślę, że w sumie niewiele się zmieniło, ale po chwili w tyłek wpija mi się ławkowe drewno, hop, skurcz podskakuje wyżej, przez krzyż, plecy, prawie pod szyję i nagle czuję się staro. Dobra, zmieniło się coś jednak, przez chwilę myślę, że czterdziestka to też bez przesady, ale nie mam czasu, żeby zastanowić się nad tym głębiej, bo przerywa mi telefon.

Wibruje, wysupłuję go z kieszeni i uśmiecham się, bo wygraliśmy. Z malunków, z oprawy graficznej, jak to w portfolio nazwaliśmy, pieniędzy będzie tyle, że do końca roku razem ze studiem możemy bazgrać po kartkach: pisać hawudepy, kreślić kutasy i robić te wszystkie inne kreatywne rzeczy bez groźby głodu.

Piszę status, że wygraliśmy i że będziemy robić oprawę na Expo, a potem oznaczam wszystkich. Klikam „udostępnij”, a potem blokuję telefon, przerzucam go z dłoni do

dłoni i zwracam uwagę, że się lepi, przykleja do palców, całe są w czerwonym atramencie.

To, co się nie zmieniło, to mazaki, zawsze się z nich tusz leje po kieszeniach. Mam dwie wielkie krople na udach.

ŁAZIŁEM JUŻ TAKI pobazgrany, dwudziestoletni, dwadzieścia lat temu, cały kolorowy. W dwutysięcznym wsiadałem na tym samym przystanku w sto siódmkę, przegubowego ikarusa, i jeździłem na uczelnię na zajęcia. Każdego dnia tygodnia miałem na ósmą, jechałem zawsze tym samym autobusem, był zawsze o siódmej osiemnaście. Do komunikacji miejskiej wskakiwałem jak przybysz z obcej planety. Ci, którzy w tamtym czasie jeździli do pracy, wyglądali wszyscy jak z jednej foremki: nesesery i torebki skajowe, eleganckie, wielkowiejska gadka, motyw przewodni: pieniądze.

Ja pośród tego wszystkiego zahukany, w bluzie i spodniach worach, w których trzymałem flamastry. Wyglądałem, jakby mnie ktoś wziął paluchami za skórę na karku wprost ze Stanów, z teledysku Mobb Deep, i pstryknął mną w Warszawę, wtedy całą z błota i betonu. Wsiadałem zawsze z przodu, otwierał mi Bogdan. Że Bogdan, wiedziałem po literkach, którymi wykleił sobie pulpity dookoła kierownicy: be-o-gie-de-a-en-jeden-zero-siedem, Bogdan sto siedem

i jeszcze obrazek ze Świętym Krzysztofem. Bogdan za fajerą, na stanowisku, skupiony jak w konfesjonale. Kierowca z niego był porządny. Nie guzdrał się, potrafił zdrowo dopierdolić gazu, lecieliśmy wtedy w tym autobusie, zostawiając za sobą tumany kurzu, ale jeździł Bogdan zawsze tak, że każdy się u niego czuł bezpiecznie. Punkt po punkcie, przystanek po przystanku, on stałe na swoim miejscu, jak przyspawany. Nie pamiętam, by chociaż raz wyskoczył choć na chwilę, żeby się w ramach czasu pracy na przykład wyszczać. Swoją robotę wykonywał wzorowo. I prawie zawsze milczał, raz mu się tylko przy mnie zdarzyło odezwać.

W tamtych czasach na którymś przystanku prawie zawsze do autobusu wtaczała się też taka baba, problem miała jakiś do mnie bardzo często. W myślach se ją nazywałem Święta, bo zakola miała i zaczesane do tyłu złote włosy, i wyglądało to trochę jak aureola. Była Święta wariatką: gadała do siebie, myślała głośno i zawsze źle, wszyscy się na Świętą oglądali, czekając tylko, co skomentuje, co wytknie, co jej akurat nie spasuje. Nie pasowałem najczęściej właśnie ja: „A bo, kurwa, taki niewydarzony jakiś, pewnie narkoman, teraz pełno tego dziadostwa wszędzie, widziałam w telewizji, jak heroinę palą po klatkach, wandalują, kosze podpalają i mówią słowami ludzi z więzienia, tak, ci młodzi ludzie, ja ich podstuchuję czasem, paskudne



rysunek DOMINIK NAWROCKI

są to słowa, a słowa są ważne, o, tu jest jeden taki, proszę spojrzeć tylko” i wszyscy na mnie zawsze patrzyli, nie wiem nawet, czy mieli złe intencje. Apetyt na plotki na pewno mieli, wszyscy wszędzie mają.

Jeździłem tak ze Świętą jakiś czas, któregoś razu przegięła, a poszło o te spodnie wory. Stałem, bo miejsc siedzących nie było, w tych co zawsze, w nich moje rzeczy do malowania, napchany byłem, napompowany, sztany nosiłem wielkie, wtedy każdy, kogo chciałem znać, tak chodził, naprawdę. Obcięła mnie już Święta na przystanku, prychnęła pod nosem, zanim wsiedliśmy. Potem litania bez ustanku: „A te spodnie, patrzcie państwo wszyscy, takie drelichy, takie wory, jak do ziemniaków, on tam w nich kartofle ma i snopowiązałkę albo gówno po prostu, zesrał się, patrzcie państwo, taka to kultura, te plamy jeszcze czerwone, od farby albo krwi, kto wie, czy nie bandyta jakiś, pełno teraz się bandyctwa panoszy”. We mnie się gotowało, znowu przez nią jechałem cały czerwony, trudno się do czegoś takiego przyzwyczaić. Tamtego dnia Bogdan zatrzymał autobus. Silnik wyłączył, bo od diesla taki terkot, no nie do przekrzywienia. Powiedział kilka słów, dosłownie:

– Proszę pani, pani wysiądzie, bo mi pani przeszkadza w pracy. Jeśli pani nie wysiądzie, to dalej nie pojedziemy. Dziękuję.

Dziękuję, wysiadła. Nigdy później Świętej nie widziałem, nie żyje już teraz pewnie. Po tekście Bogdana uśmiechnęło się do mnie nawet parę osób, ewenement, rzadkość, te uśmiechy najbardziej pamiętam i Bogdana, do dziś. Setki kilometrów z Bogdanem przez lata zjeździłem, a nawet żeśmy słowa nie zamienili. Bogdan kierowca, Bogdan ochroniarz, Bogdan sto siedem, ikarus i smród spalin.

Za wpis o konkursie zbieram w dwie minuty dwadzieścia polubień. Zerkam na zegarek w telefonie, jest siódma osiemnaście. Punktualnie podjeżdża czerwono-żółty solaris, elektryczny, z wymalowaną na zielono Warszawą. Za kółkiem gość w moim wieku, z ryja Ryan Gosling. Smutno mi się robi, Bogdana, tak jak Świętej, też już od lat nie widuję, myślę, ale tylko przez moment, telefon przerywa mi znów, ktoś mi pod tym wpisem o konkursie dał komentarz.

Wiola

KINO: Ach, kino to w moich czasach już był przeżytek. Ja wiem, że jak teraz o tym pomyślę, w roku dziewięćdziesiątym... zaraz, który mamy? Dziewięćdziesiąty ósmy, kiedy się pojawiają te nowe, jak to się mówi teraz hucznie, „arcydzieła” typu *Titanic*, to to brzmi, jakbym była malkontentką ostatnią, ale to mam akurat w nosie, ja się na kinie znam. Znam je z całą jego klasyczną mitologią i to mi wystarcza, znam sacrum z Bogartami i Bergmanami, profanum z zanurzaniem się w welurowym fotelu i siedzeniem tam bite dwie godziny jak trusia, byle tylko nie skrzypnęło, znam to wszystko, znam, tak! Ale kiedy przyszedłam na świat... Kiedy przyszedłam na świat, to może nie, rzeczywiście, może troszeczka później... Kiedy byłam młoda, pojawiła się moja pierwsza i jedyna miłość.

Pamiętam jak dziś, jak pierwszy raz to zobaczyłam. No tak, stosunkowo późno to było, bo moje dzieciństwo to czas wojennej zawieruchy, straszna sprawa, cała ta tułaczka, terkot broni, przetaczający się front: najpierw Niemcy, jeszcze u nas, na Podolu, ale oni to jeszcze pal licho, później w czasie wojny im też bieda do tyłków zaglądała, coś tam podkradali, ziemniaki z kopy, co mieliśmy w stodole, ale najgorsi byli Rusczy, rzecz jasna, mnie, małą dziewczynkę, rodzice obwiązywali w chusty, żeby mnie z babą starą ta hołota myliła. Nie chcę nawet wspominać tamtego diabelstwa, tego, co się wtedy działo.

Potem, jak się wojna skończyła, to historia przesiedleńcza, nowa Polska, nas wzięto i wygnano aż pod Wrocław, tak, wygnano, tak mówię, bo pierwsze lata życia w tamtym miasteczku to było prawdziwe wygnanie i wymieranie rodziców, jednego po drugim. Pamiętam do dziś, jaka struta łąziłam po tamtej mieścinie poniemieckiej, co ją komuniści zamienili w kilka lat w miasto górnicze, i tam, tak, w czasie tej żałoby się zakochałam!

Przewrotne to jest, wiem, ale ja przez wiele lat wyznawałam taką dewizę, że gdy zło jest dookoła, to dobro gdzieś tam się już czai i na odwrót. Teraz w sumie też tak trochę mam, swoje dobre czasy już miałam, więc mnie teraz zło pożera, mniejsza! Ach tak, no, zakochałam się... W czym? No jak w czym...

Ano, w telewizji się zakochałam... Kiedy? Boże no, daty nie pamiętam, po co komu data, jak się liczy uczucie, wrażenia, to, co czuje wtedy skóra, głowa albo serce. Mógł być pięćdziesiąty któryś, może wczesne lata sześćdziesiąte, nieważne, ważne, że mi się włosy zjeżyły któregoś dnia w domu kultury w miasteczku, jak nam tam postawili telewizor, Szmaragd się to ustrojstwo nazywało. Program leciał wieczorny i piękna pani go zapowiadała, tak, mnie ta pani najbardziej w głowie utkwiała, i mówiono, że już za jakiś czas każdy coś takiego będzie miał w domu, że wszyscy będą kolektywnie odbierać to samo! Ja wiem, że wtedy kłamano na potęgę, ale to była prawda, i pomyślałam wtedy, że to niesamowite, że tę panią każdy będzie mieć u siebie w salonie, w sypialni, czy gdzie tam akurat sobie ustawi odbiornik. Czy zapragnęłam wtedy, żeby to mnie tak widywano? Pytanie! Pewnie, że tak, człowiek jak jest zakochany, to ma poczucie, że góry może przenosić.

A czy w nim się wtedy zakochałam? Czy ja wiem? Myślę, że nie, bo go już nie ma i mnie z takim myśleniem wygodniej. Ale no był, Mietek, górnik. Trochęśmy tam pomieszkali pod tym Wrocławiem, z kilka lat, do momentu, jak ta telewizja weszła już naprawdę z przytupem. I jak ja w nią weszłam, tak! Najpierw do Wrocławia jeździłam, gdzie mnie wzięto na prezenterkę. Tam były wtedy jakieś programy lokalne, *Wrocław tańczy i śpiewa* na przykład, ale to wszystko w powiśkach, a mnie się marzył wielki świat. Ale wtedy marzyłam po cichu, co trzeba było, to zapowiadałam, mówiłam: „Drodzy państwo, nadamy za chwilę Teatr Telewizji” albo: „Mamy dla państwa dziś *Transfokator*”. Prawdziwy przełom to był siedemdziesiąty rok, kiedy się pojawił w telewizji *Jazz nad Odrą* i ja tam byłam twarzą, zapowiadałam tę muzykę, ach, piękne to było, a jakie postacie: Ewa Wanat, Trzaskowski Andrzej! Ten festiwal to był mój pierwszy i ostatni wrocławski, bo się przeniosłam wkrótce potem do Warszawy i zaczęły się dla mnie najlepsze czasy...

...Najlepsze? No Gierka okres oczywiście. Mąż mój, Mieciu, wtedy jeszcze we Wrocławiu był, ale dojeżdżał i zaczął się przestraszać, z zamiarem pracowania w warszawskiej Państwowej Radzie Górnictwa. Udało mu

się w końcu, przyjechał, w siedemdziesiątym trzecim. No i ten krótki czas... Krótko trwało, tak, ale to był mój najlepszy moment, miłość najintensywniejsza, a czego się nie robi dla miłości?

Zacząłam pracować dla Telewizji Polskiej w Warszawie, tam zapowiadałam programy, wszystko potrafiłam ludziom sprzedać, zachęcić, zawsze bezbłędnie, przepiękną polszczyzną, zawsze do końca dnia, zawsze w tej pracy, zawsze w telewizji, lata siedemdziesiąte całe w studiu przesiedziałam, panią Wiolę wszyscy w pewnym momencie znali. Pani Wiola z telewizji, z Warszawy, z tego zgiełku i huku, pani Wiola z ekranu, wreszcie pani Wiola z festiwali muzycznych i to już nie, nie umniejszając, z *Jazzu nad Odrą*, ale z festiwali ogólnopolskich.

Szczyt był w siedemdziesiątym piątym, zapowiadałam dwa największe festiwale w kraju. Z gwiazd wtedy: Maryla Rodowicz, Krzysztof Krawczyk albo Anulka Jantar, tak, ja na nią tak mówiłam: „Anulka” – oni mnie wszyscy znali i w moich ustach, w telewizji, ich nazwiska coś naprawdę znaczyły.

A gdzie w tym wszystkim moja gorycz? To zaraz, przez zmiany polityczne, co były. Ale, ale! W międzyczasie Mietek się wyprowadził, wyjechał. Najpierw pod Wrocław, bo w Warszawie było mu zbyt zgiełcznie, a potem do Stanów. A tam zgiełku nie ma? – pytam się.

Można pomyśleć, że go zaniedbałam i takie tam, ale to nie tak. Po pierwsze: Mieczysław się wyżywał, och, strasznie się wyżywał. A jaki zazdrosny był! Nie mógł przeboleć tego, że chodził w błysku studyjnych lamp, a on ciągle lał pod ziemię, a w Warszawie, przez ten krótki czas, chodził do biura. Gryzło go to, tak. Potrafił mi przysolić, oczywiście, ale mu powiedziałam raz, potem drugi: „Jeszcze raz tak zrobisz, to się wynosisz stąd”. No i zrobił, potem w pracy pudrem zakrywał. Potem trzeci, czwarty raz. Lał Miciu, no! Ale po jakimś czasie, jak zobaczył, że to nic nie zmienia, to się wyniósł, nie mógł tego znieść. Bo jak to tak? Kobieta? Głupie, prawda, ale go świat inaczej nie nauczył.

Po tych wszystkich latach myślę, że to bez znaczenia czy kobieta, czy mężczyzna. Ja zawsze chciałam dojść gdzieś, z tego biednego Podola, z tej miejsciny podwrocławskiej

potem, tak to już jest, są ludzie tacy jak ja, co ich wyżej ciągnie, choćby nie wiem co. Gdzie chciałam dojść? Do telewizji!

Jest takie powiedzenie, że z wysokiego konia się boleśnie spada. Ja spadłam po osiemdziesiątym roku, jak Gierka odsunęli i telewizję zaczęto zmieniać. Jak zmieniać? No politycznie. A że telewizję kocham, powtarzam, to wtedy już bez posady, choć robiłam jakieś chałtury, imprezy mniejsze, i choć naprawdę była we mnie ta zgryzota już wspomniana, to i tak tę telewizję oglądałam i oglądałam nadal. Najpierw stan wojenny obserwowałam w szkiełku, jak moich kolegów z dawnej pracy zaczęto przystrajac



na antenie w mundury. Koszmar! Ja rozumiem, w formie performansu, ale coś takiego? Przecież kłamać można w zwykłym garniturze, nie trzeba się od razu za żołnierza przebierać. Potem czasy się zmieniły, szarą zieleń zamienili na pogodniejsze kolory, w ostatnich latach to w ogóle pstrokate.

Oglądałam to, tak, oglądałam nadal. W ubiegłym roku, jak powódź była, nie wstałam od telewizora. Tragedia! I to tamte rejony przecież, miasta pod Wrocławiem, w którym mieszkalam, celowo nie mówię, że rodzinnego, pół zalało. Oglądałam zainteresowana, ja się tej telewizji poświęcam nadal. Uważam, że każdy człowiek powinien mieć swoje zajęcia, swoje pasje, bez szkody dla społeczeństwa. U mnie telewizor gra non stop. Jest takie powiedzenie, jak się nie ma

miedzi, to się w domu siedzi, tak się mówiło na rautach. Ja tej miedzi nie mam teraz za wiele, ale jak coś mi się trafi, to wiem, na co wydać. Ostatnio, z pół roku będzie, kupiłam sobie nowy telewizor, Panasonic, dwadzieścia jeden cali. Co robię? Oglądam. Co się da, godzinami, najlepiej lubię reklamy: „Na śniadanie zdrowe, to płatki są wyjątkowe!” albo „Ponieważ tylko Perła zawiera lanolinę”, no, czy bym się bez telewizora dowiedziała, co to lanolina? A czy dowiedziałabym się skądś indziej o akcji „Małolat”? To dobre pytanie.

Teraz takie czasy nastały, że ja się boję wyjść z domu, i telewizja mi podpowiada, że boję się słusznie. Akcję „Małolat” zarządzili niedawno, młodzi się nie mogą wynurzać po nocy. Dlaczego? A bo kradną, piją, tłuką też na pewno, a kto wie, czy mnie nie dorwą w końcu kiedyś, no, babinę? Pokazują ich w telewizji: bluzy, kaptury, narkotyki palą. Ja się boję, strasznie się boję od nich krzywdy, a jeszcze jak 997 oglądałam, to po mnie dreszcze chodzą, tak o: góra-dół! Niech i będzie „Małolat”, ale co to zmienia, jak się boję i za dnia?

Czasem mi się śni, że przychodzi Mietek, że mi chce zrobić krzywdę, a ja się przed nim bronię, wrzeszczę na niego, gadam o nim przy ludziach, żeby się zmył. Jak się boję, to tak właśnie mam, gadam i gadam. Tych „małolatów” to jest na ulicach Warszawy pełno, na przykład, o, gnój w spodniach jakichś takich workowatych, głowa łysa, sportowe buty białe... Chłopina jak z ekranu, skąd ja mam wiedzieć, czy mnie noża nie przystawi albo gdzie nie zaciągnie? Zawsze jak takiego widzę, to na niego zwracam uwagę.

Dziś mnie za to wyrzucono z autobusu, sto siódemki. Mnie, starszą panią. Za troskę o bezpieczeństwo. Jak wyrzucono? No dorwałam takiego jednego, zaczęłam mu przygadywać, w końcu mi kierowca kazał wysiąść. Wysiadłam, tak, bo się nie będę chamów o łaskę prosić. Ale do autobusu nie wrócę, nie będę sobie wycieczek tamtą trasą urządzać, więcej czasu w domu spędzę, na swoim, to nie szkodzi.

A i się nie martwię, bo któregoś dnia odzyskam sprawiedliwość, tego jestem pewna, tak. I kiedy się to wreszcie stanie, powiem o tym światu, świat na nowo usłyszy o Wioli.

No jak to skąd? Z telewizji!

Bogdan

—
 ŻYCIE PRZEŻYŁEM jako dobry chrześcijanin, naprawdę. Całe przeleciało mi w strachu przed piekłem i potępieniem, i z pytaniami, jak zachowałby się Jezus. Jezus jeździłby zetteemem, bo jest w tym prawdziwe jesusowe cierpienie. „Co powiedziałby Jezus?” – dostałem z tym hasłem do osiemnastego roku życia, kiedy Jezusa zmieniłem na jakiś czas na Kazię. Przed Kazią była niewinność, dzieciństwo było, pistolety z patyków i legendy o ukrywających się po lasach partyzantach, i bieganie po gruzach stolicy, kiedy akurat coś nas, chłopców z Rembertowa, tam zawiąło i nie ściągnęło na nas jednocześnie jakichś drabów, którzy mieliby nas stłuc. Ja byłem zawsze święty, tak uważam, oprócz tego kaziowego epizodu. Jak miałem siedemnaście lat, to do zakonu chciałem iść, zostać normalnie osobą duchowną.

Do technikum poszłem samochodowego. Reszta, ci bardziej artystyczni akurat, to lubili deklamacje wierszy o majowym święcie, słońcu, bzach i żarze z hutniczych pieców. Ja, w czasach, kiedy to nie było takie łatwe wcale, gadałem „W imię ojca i syna, i ducha świętego, amen”, przysięgam. Z Jezusem za pan brat, z Jezusem na okrągło. Na okrągło do osiemnastki, do wieku dojrzałego, w którym zaczęliśmy się z chłopakami z technikum po wsiach wokół Warszawy rozbijać, jak mnie zaczęli na tańce zetemwuoskie wyciągać. Portret Gomułki, czerwone gęby i tańce na deskach do dzikiej muzyki. Tam się Każka pojawiła. Może oczy moje się jej spodobały, zawsze je do góry wznosiłem jak do modlitwy, miałem to modlenie się w głowie mocno zaszyte.



„W imię ojca i syna, i ducha świętego, amen” – myślałem dziesiętnastoletni, kiedy po skończeniu szkoły zacząłem jeździć dla spółdzielni mleczarskiej, dla Transmleczu. Z Każką oczywiście, bo przykleiła się jak rzep. Studiowała tam wtedy coś nawet w tej Warszawie, ale z zajęć wiała, kiedy tylko mogła. I jazda, ja za kierownicą nyski, ona ze mną, i pruliśmy z tym mlekiem całym i jej gadaniem, żebym jej Bitlesów puszczał. Puszczałem, ale w głowie miałem tylko z domu wyniesione: „W imię ojca i syna, i ducha świętego, amen”.

Nie obchodziło mnie to nawet za bardzo, myślałem, że rok może jeszcze, dwa, rzucę wszystko, ja też rzucę i pójdę na kleryka, naprawdę.

Każka sobie z tego nic, się żeśmy pobrali w sześćdziesiątym siódmym i już wiedziałem, że z mojego życia, takiego jak chciałem, to będzie niewiele. Ale najgorsze było dopiero przed nami.

Boga się ma w sercu, nie w sutannie czy krzyżyku, tłumaczyłem sobie i żyłem po bożemu tak bardzo, jak mogłem tylko. Jak jeździłem, to ze Świętym Krzysztofem, no z takim obrazkiem, co go dostałem od księdza, z napisem: „ŚWIĘTY KRZYSZTOF | 1966–1000-LECIE CHRZTU POLSKI”. Krzysztof był moim przyjacielem, jedynym i prawdziwym. Rozumiał mnie bardziej od kolegów od patyków, kolegów od tańców i od Każki, od naszego małżeństwa i od jej choroby.

Choroba to cierpienie i samotność, tak się mówi, osoby chorującej, ale jest też cierpienie osoby, która się tej chorobie przygląda. Każce stwardnienie rozsiane zdiagnozowali w siedemdziesiątym, bo ja wiem, którymś. I nic, tylko patrzyłem, jak się sypie. I modliłem się: „W imię ojca i syna, i ducha świętego, amen”, i nie wiedziałem w sumie o co, bo mówili, że prędzej czy później i że to zależy od tego, jak się leki dawkuje. Mnie to przygwoździło do Warszawy, skończyły się wojaże transmleczowe i zacząłem jeździć w komunikacji miejskiej. W końcówce lat osiemdziesiątych. Sto siódmką jeździłem, ikarusem, pocziwiną i nic, tylko się modliłem. Myślałem o trzęsącej się najpierw, potem leżącej tylko Każce, o jej lekach i o tym, że ze mną Krzysztof jeździ, i że damy radę, wreszcie pokój ducha

odnajdywałem, autobus się stał moim klasztorem. Tylko autobus, bo w domu to: „Boguś, Boguś, podaj to, Bogdan, przynieś tamto”. „W imię ojca i syna, i ducha świętego, amen” – myślałem tylko i kiedy patrzyłem na nią, jak chudnie, widziałem w tym szansę dla niej, że tylko trochę jeszcze i się z tych męczarni oswobodzi. „Co by powiedział Jezus?” – myślałem o niej i o sobie, o Jezusie, o autobusie i o woźącym mnie w nim Świętym Krzysztofie.

Jezus powiedziałby, że cierpienie uszlachetnia, że jest coś w tym cierpieniu i że nie badyle, nie tańce, nie Bitlesi, tylko cierpienie. Życie jako dobry chrześcijanin.

Leki przestałem podawać Każce w piątym roku jej choroby. Pięćlecie, taka rocznica. „Boguś, Bogdan, boli”, w imię ojca i syna, i ducha świętego, amen. Zmarła Kazia kilka miesięcy później, na pogrzebie jej tych Bitlesów puściłem z magnetofonu. Po Każce przez resztę życia miałem swoje już życie, duchowe, skryte, ciche, życie w swoim eremie. Bycie kierowcą zetteemu to zawód chrześcijański – milczący, skromny, w służbie ludziom, zdarzało mi się czasem komuś pomóc, zawsze w ciszy, zawsze w modlitwie.

Pracę skończyłem piętnaście lat temu. Emeryturę spędzam z Krzysztofem i z Jezusem, widzę ich na obrazkach wmontowanych w witrynę. Dalej zdjęcie Każki, oprawione w ramkę, żebym pamiętał, skąd i z kim to cierpienie. Kazia na pewno już w niebie, tupie na parkiecie, wzbijając kurz z desek na tańcach, już na pewno bez Gomułki nad głową, bo komuchów do rajy nie wpuszczają.

Mnie kiedyś wezmą. Wcześniej w czystcu będę jeździł autobusem, odrabiał Każkę, jej cierpienie, cierpiał za naszą dwójkę i mnie się to podoba. Jestem bardziej niż pewien, że potem zostaną zbawiony. Przepustką będzie glejt od Krzysztofa, patrona kierowców. Dobrzy chrześcijanie idą do nieba, ja pójdę na pewno, ja tego tak nie zostawię. W imię ojca i syna, i ducha świętego, amen.

Prozę w „Piśmie”
 wspiera Miasto Gdynia,
 sponsor Nagrody
 Literackiej GDYNIA

NAGRODA
 LITERACKA
 GDYNIA

POEZJA

W porównaniu ze śniegiem

OŁEH KOCAREW

—

biały kotek jest taki niebiały!

*przełożyła Aneta Kamińska*OŁEH
KOCAREW

(ur. 1981), ukraiński poeta, prozaik, dziennikarz, tłumacz. Mieszka w Buczy pod Kijowem. Jego najnowsze książki to zbiory poezji *Ewakuacja* (2022, z polskimi przekładami Anety Kamińskiej), *Zawartość męskiej kieszeni* (2021, w przekładzie tej samej tłumaczki ukazał się w tym roku) oraz powieść *Ludzie w gniazdach* (2017). Jest współredaktorem (wraz z Julią Stachiwską) antologii *Ukraińska poezja awangardowa* (lata 1910–1930).

Lolita i starcy

tekst KAROLINA LEWESTAM

CO DZIEJE SIĘ, KIEDY dorośli faceci sypiają z nastolatkami.

Historia powinna była się zacząć od książki; w tym wypadku od *Lolity*.

Niestety, zaczyna się dużo później, wiele lat po lekturze dzieła Vladimira Nabokova, kiedy trafiam na inną książkę. To esej Claire Dederer *Monsters. A Fan's Dilemma (Potwory. Dylematy fanów)*, w którym autorka stawia pytanie, czy można kochać sztukę, potępiając zarazem artystę. Nie dostaję od niej jednoznacznej odpowiedzi, czy seks Romana Polańskiego z trzynastolatką wyklucza wszelki zachwyt nad jego *Chinatown* (1974), ale otrzymuję coś ważniejszego: resuscytację prawie zmarłych wspomnień. Medytacja nad problemem Polańskiego prowadzi bowiem Dederer właśnie do *Lolity*.

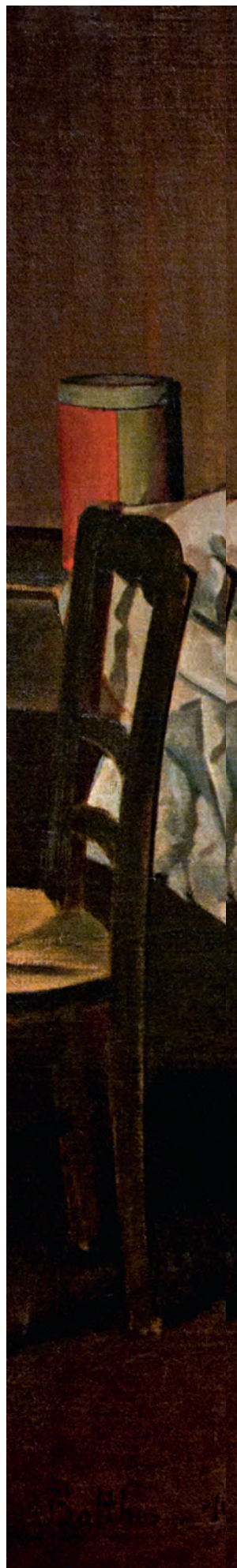
Okazuje się, że na *Lolite* obie trafiłyśmy w podobnym momencie życia – tam, gdzie z dzieckiem zaczyna się siłować dorosłość, gdy dziewczyna nie wie jeszcze, jak ułożyć się z ciałem; krótko mówiąc, początek liceum. Dederer opowiada, że ktoś polecił jej tę książkę, bo miała być „o dziewczynie takiej jak ona”. Czytaj: w podobnym wieku. Głodna narracyjnej identyfikacji – wszak nieczęsto się zdarza, by dobra, nieschlebiająca czytelnikowi literatura oferowała do konsumpcji pełnokrwistą postać nastolatki – Dederer z nadzieją rzuca się na *Lolite*, ale wychodzi z tej lektury „wściekła i rozdrażniona”.

Czemu? Jasne, duża część fabuły *Lolity* to opisy seksualnych nadużyć pedofila, ale główny problem Dederer jest, o dziwo, inny. Swoją reakcję opisuje tak: „[C]zułam wręcz cielesny bunt przeciwko temu, że Lolita jest w tej

powieści *de facto* nieobecna. Oto czytałam najznakomitszy w świecie opis wymazywania dziewczynki. Może tak mnie to przestraszyło, bo jak wiele dziewcząt, też przeżywałam taką historię na swój mniejszy, cichszy sposób” (przeł. K.L.).

Jeśli historia zaczyna się gdziekolwiek, to tu – bo ten krótki fragment uderza we mnie jak bat.

To jasne, że Dederer ma rację. Są myśli, które smakują jak oczywistość – kiedy je usłyszymy, zdaje nam się, że myśleliśmy je od zawsze. Oczywiście, że *Lolita* wcale nie jest o Lolicie. Narrator, Humbert Humbert, widzi w Dolores Haze tylko jej strzępy, jakby dziewczynka była obracany przezeń w dłoni, coraz to innym, kawałkiem szkła, niewidzialnym, przezroczystym; przywoływany do istnienia przez dotyk, identyfikowanym przez błyski (ciepłe brązowe loki, cień rzęs, opalone kolana). Narrator pieczołowicie zbiera te szkiełka jak opętana sroka i wrzuca do swojego erekcyjnego kalejdoskopu. „Boże, co za męka, ten jedwabisty poblask nad jej skronią, który stopniowo przechodzi w połyskliwy brąz włosów. I kosteczka drgająca z boku przypudrowanej kurzem pęcinki” – pisze. Albo: „Brzęk. Lśniący ornament puchu na przedramieniu. Kiedy wstała, żeby zanieść pranie do domu, miałem okazję wielbić z oddali spłowiałe siedzenie podwiniętych dżinsów” (przeł. Michał Kłobukowski). *Lolity* nie ma w książce pod tytułem *Lolita*, jest tam słuczona figurka nimfетки, przedmiot obsesji.





BALTHUS, *Zamyślona Teresa* (1938)

Ale czemu nie ma Lolity? Najłatwiej pewnie stwierdzić, że Humbert Humbert po prostu nie widzi realnej osoby, jaką jest Lo, bo jest zbyt zaabsorbowany swoim pożądaniem. Ale może rzecz wygląda inaczej; może osoba Lo jest nieobecna, bo zostaje zniszczona? Może w procesie uwodzenia przez Humberta jej dusza ulega zdeptaniu, zniszczeniu, dezintegracji – i niefortunny kochanek nie ma już jak jej porządnie zobaczyć? Tak właśnie uważa inny Humbert H., w nieco bardziej współczesnej *Lolicie* – powieści *Mój mały zwierzaku* Mariekego Lucasa Rijnevelda. Ten Humbert to wiejski weterynarz o mrocznym umyśle, w metodycznych odśłonach chorej pasji uwodzący czternastolatkę; czuje on, że to jego pożądanie i dotyk jego „poroża” (tak mówi na męskie przyrodzenie) niszczy dziewczyny obiekt. „Pomyliłaś światło z księżycem” – mówi do swojej, jak ją nazywa, „oblubienicy” – „Chciałaś zabawy oraz miłości, a ja wyciągnąłem ręce, byłaś spokojna i bez lęku opadałaś na moją dłoń; chciałem cię tam zachować, wiedząc, że masz delikatne skrzydła i najdrobniejsze uszkodzenie może sprawić, że już nigdy nie pofruniesz, ale zacisnąłem nad tobą drugą dłoń i usłyszałem, jak trzaska twoje ciało, zawsze rodzi się pytanie, jakiego owada zabijasz, a jakiego czule wynosisz na zewnątrz (...) a ja ciebie zgniotłem” (przeł. Jerzy Koch).

Lolita nie jest więc o *Lolice* z kilku potencjalnych powodów. Humbert Humbert może być ślepy na człowieka w nastolatce – a może go sam, dokonując aktu radykalnego przecięcia dzieciństwa, niszczyć, jak sugeruje potworny weterynarz Rijnevelda. A może jest jeszcze inaczej? Może Lolity nie ma tylko chwilowo, bo jest poczwarka; może niczego nie podejrzewająca dziewczyna, brutalnie wyrwana z naiwności przez nieubłaganą chuć starszego mężczyzny, boleśnie przeistacza się w kogoś innego?

Tak dzieje się przecież u Kory z greckiego mitu. Kora jest piękną dziewczyną, która biegnie po łąkach, bawiąc się kwiatami – a potem wpada w oko temu najstraszniejszemu H., Hadesowi. Hades nie bawi się w uwodzenie, jak złotousty Humbert czy mrukiwy lekarz od krów; po prostu wsiada w rydwan i porywa piękne dziecko do podziemia (takie czasy, taki charakter). A tam Kora przestaje być Korą. Niby wygląda tak samo, niby tak samo mówi; może dalej trzyma w ręku kwiaty – ale przemiana się dokonała; czarny feniks wstaje z prochów złotego, który umarł; motyl przedzierzga się w podziemną gąsienicę i teraz dostaje nawet inne imię: Persefona.

Louise Glück opisuje jej traumatyczną przeprowadzkę w podziemną dorosłość w wierszu *A Myth of Devotion* (*Mit poświęcenia*, przeł. K.L.) – nawet pan podziemia, czytamy u Glück, nie wie, jak obdarować dziewczynę w trakcie trudnej metamorfozy. Niezręczność Hadesa wobec śmierci poprzedniego „ja” dziewczyny nie powstrzymuje go jednak, co widać z wyboru umeblovania, przed korzystaniem z jej ciała:

*Kiedy Hades zdecydował, że kocha tę dziewczynę,
Zbudował dla niej kopię ziemi,
Wszystko to samo, nawet łąka,
Ale dodał łóżko.*

*Wszystko to samo, włączając światło słońca,
Bo trudno byłoby młodej dziewczynie
Tak szybko przejść z jasności w ciemność
(...)
Marzy, zastanawia się, jak nazwać to miejsce.
Najpierw myśli: Nowe piekło. Potem: Ogród.
Na koniec decyduje się nazwać je
Dziewczęctwo Persefony.*

*(...)
Chce powiedzieć: Kocham cię, nic cię nie może zranić*

*Ale myśli
To kłamstwo, więc w końcu mówi:
Jesteś martwa, nic cię nie może zranić.*

Śmierć, największa przemiana; śmierć – ostateczna dorosłość. W podziemiu jesteś naprawdę dopiero, kiedy cię nie ma.

Ale dlaczego tak zajmuje mnie uświadomiona przez Dederer kwestia sposobu nieistnienia Lolity?

Dederer pisze: „Jak wiele dziewcząt, też przeżywałam taką historię na swój mniejszy, cichszy sposób”. Ja też przeżywałam taką historię na swój mały, cichy sposób; to w tę historię przenosi mnie na powrót lektura *Monsters*, budzą się zjawy skazane kiedyś na dożywocie snu. A fragment o złości uderzył we mnie jak bat, bo zazdrość nastoletniej Claire. Nie historii, o nie, przecież mówię, że mam swoją, pewnie równie złą. Zazdrość jej złości właśnie – złość znaczy, że Dederer już wtedy istniała na tyle mocno, żeby przy lekturze *Lolity* się wściekać. Kto się wścieka, ten istnieje, bo przecież trzeba się wściekać skądś. A kiedy cię nie ma, tak jak mnie nie było, podążasz za Humbertem, bierzesz jego słowa za dobrą monetę; ja tak robiłam, kibicowałam mu nawet niekiedy; przy lekturze raz nawet spojrzałam w lustro jego wzrokiem, szukając na ciele śladów nimfetkowego czaru. Mnie nie trzeba było porywać; sama się wpakowałam do pułapki, w życiu i w lekturze.

Innymi słowy: co dzieje się, kiedy dorośli faceci sypiąją z nastolatkami?

Tryptyk wyjaśnień

—
PRZYGLĄDAM SIĘ TUTAJ heteroseksualnym cisrelacjom dorosłych mężczyzn z nastolatkami. Nie relacjom dorosłych kobiet z chłopcami; nie związkom jednopłciowym

dorosłych ludzi z tymi wchodzącymi dopiero w dorosłość, nie queerowym związku z różnicą wieku. Może zdarzyć się tak, że osobom z takimi doświadczeniami przydadzą się moje przemyślenia (najbardziej prawdopodobne byłoby to, jak sądzę, w sytuacjach romansu nastolatki ze starszą kobietą; przypuszczam, że Lolita pozostaje Lolitą, nawet gdy Humbert H. dokonuje płciowej metamorfozy); może wydadzą się obce. Ale nic nie jest o wszystkim; ten esej także nie. To wyjaśnienie numer jeden.

Za nim zaś idzie wyjaśnienie numer dwa: owszem, rozumiem, że są dwa różne rodzaje sypiania z nastolatką. Jeden jest legalny, kiedy dziewczyna ma powyżej piętnastu lat; za drugi trafia się do więzienia, jak Humbert H. i pan weterynarz. Ten pierwszy można podciągnąć pod „zdrowe, męskie pragnienia”, ten drugi po stronnej równi pochyłej zjeżdża na stronę pedofilii. Ale mimo, że radykalnie różne, te przypadki w pewnym aspekcie bywają podobne i to ten aspekt interesuje mnie najbardziej. *Lolita* jest nie tylko fascynującą literacką kroniką rzadkiego zbrojenia, lecz także zapisem czegoś powszechniejszego: pożądania obiektu życiowo dziewczęcego; kogoś, kto jest po prostu zdecydowanie mniej dojrzały. I kiedy myślę o licealistce, którą podrywa nauczyciel, a nawet o osiemnastoletniej studentce, którą uwodzi starszy profesor, mam intuicję, że pokażna część nierówności, tak oczywistej w wypadku *Lolity*, często przeciąga się do tych pozornie bardziej równorzędnych spotkań – bo kiedy mężczyzna występuje w pewnym sensie *in loco parentis*, jako mentor, tutor, profesor czy nauczyciel, dziewczyna z konieczności będzie stać wobec niego na *quasi*-dziecięcej pozycji.

Wyjaśnienie numer trzy już poniekąd nastąpiło, ale domaga się powtórzenia: jest nim moja własna historia. Gdy temat jeży się trudnościami, najłatwiej przyłgnąć do doświadczenia. Ale ta łatwość czasem się mści; doświadczenie ma bowiem moc farbowania ocen – więc najuczciwiej będzie powiedzieć, co mi się przytrafiło, żeby każdy mógł sam oszacować stopień owego zafarbowania. A więc proszę, oto moja historia. Mam słowa i waham się ich użyć, ale użyję ich mimo to, w czymś w rodzaju aktu zemsty. Nie na człowieku, ale na banale, który tak długo nosił maskę – bo gdy ta sytuacja trwała, wydawała mi się totalnie i bezgranicznie wyjątkowa; pewnie w sposób, w jaki wszystkim nastolatkom ich historie wydają się wyjątkowe; wystarczyło jednak zostać kobietą w średnim wieku, żeby ujrzeć ją jako zbiór starzych, nadpalonych klisz.

Miałam lat piętnaście i rozpoczęłam naukę w prowincjonalnym liceum; on miał lat kilkanaście więcej i uczył w tymże liceum filozofii. Nazwijmy go Bertem Bertem, bo to imię zarazem przywołuje mrocznego Humberta H. i trafnie okrasza go obrazem komicznego narzekacza z *Ulicy Sezamkowej*. Ponieważ umysł ciskał mi się

po czasie jak niespokojny płód, ze wszystkich sił pragnęłam intelektualnych wyzwania. Bert B. miał filozoficzne książki, co nie było częste na prowincji; pożyczał mi je, a także czytał chętnie to, co pisałam. O matko! Wreszcie ktoś czytał to, co pisałam. I, oczywiście, oferował komentarze – większość z nich sprowadzała się do dawania mi do zrozumienia, że jestem wyjątkowa. Oraz, rzecz jasna, nad wiek rozwinięta. Potem zaczął mi te książki dawać, nie tylko pożyczać. Pierwszą z nich były bodajże *Związki i znaczenia* Enza Paciego. Dobra książka. Od książki do rozmowy, od rozmowy do spotkań, od spotkań do wieczornych spacerów i telefonów do domu, czyli pełen asortyment tego, co dziś opisano by jako *grooming*, czyli urabianie młodej laski. Prosta klisza. Pewnie tym skuteczniejsza, że – uwaga, klisza numer dwa – miałam trudną relację z ojcem. On by nie przeczytał tego, co napisałam, a jakby przeczytał, to by pewnie nie zrozumiał.

Bert B. miał żonę i małe dziecko, a poza tym wszechogarniający *Weltschmerz*. Było to, nie muszę chyba dodawać, niezwykle tajemnicze i głębokie. Pił też bardzo dużo piwa, co pomogło mu, po długim i skutecznym okresie *groomingu*, wyznać mi miłość. Ponieważ nie miałam bladego pojęcia, co się w takiej sytuacji robi (telefon do domu, że mam przyjść; pijany mężczyzna w parku) koniec końców, po długim namyśle, również wyznałam mu miłość, nie chcąc stracić jedynego intelektualnego koła ratunkowego (z właściwą nastolatkom totalnością oceny uważałam, że otacza mnie morze głupoty, gnane szkwałem trywialności). Od wyznań miłości, jak wiadomo, przechodzi się do seksu, a stamtąd do prób niwelowania dysonansu poznawczego. Krótko mówiąc, aby zrozumieć własne postępowanie, przekonałam sama siebie, że to faktycznie jest miłość. W takich sytuacjach pomaga atmosfera tajemnicy, ukrywanie się i poczucie wyjątkowości. A to, jak wiemy, namiętnie wzmacniał, wręczając mi cichcem na korytarzach szkolnych kolejne książki, które mogłam zrozumieć, gdyż, jak już wspomniałam, byłam nad wiek dojrzała.

Był więc czas, kiedy byłam, jak mniemam, faktycznie zakochana; sama weszłam w pułapkę, sama zbudowałam swój kokon przemiany; nikt nie wpadł po mnie na łąkę czarnym rydwanem – choć baba, którą jestem, patrzy wstecz i wciąż próbuje krzyknąć do dziewczyny, którą byłam, żeby nabrała książek do torby i wiała gdzie pieprz rośnie. Baba, którą jestem, chce zwrócić uwagę dziewczyny na fenotypiczne podobieństwo Berta do Danny'ego DeVito, na jego opuszczającą go żonę, na ewidentny alkoholizm, totalny brak pieniędzy i na fakt, że nie tylko oscyluje między kompleksem niższości a rojeniami o tym, jak to on wszystkim pokaże, pisząc jakieś fenomenologiczno-semiotyczne dzieło życia, ale nawet prenumeruje „Najwyższy Czas!”. Krzyk dzisiejszej baby być może jakoś dotarł do tamtej dziewczyny przez zakręty czasu, bo

Baba, którą jestem, patrzy wstecz i wciąż próbuje krzyknąć do dziewczyny, którą byłam, żeby nabrała książek do torby i wiała gdzie pieprz rośnie.

uniesienie szybko ustąpiło poczuciu przygniecenia straszliwą tajemnicą. Seks stał się niezawodnym źródłem intensywnej dysocjacji, ba, całe życie stało się źródłem dysocjacji; a podejmowane wielokrotnie próby wyplątania się z tego, co dziś określiłabym wdzięcznym terminem *clusterfuck*, spalały, jedna po drugiej, na panewce.

Bert Bert miał bowiem szeroki wachlarz sposobów na pacyfikację tych prób – należały do nich: mękolenie, znaczące milczenie ze szklistym wzrokiem, filozoficzna argumentacja, spisywanie długich epistoł na kartkach wyrwanych z zeszytów w kratkę, w których apelował do mojego poczucia winy (a czułam się ogromnie, przygniatająco winna: raz, że żona, dwa, że on tak cierpi i tak kocha, trzy, nie zapominajmy o tym, cierpi – no i tyle ryzykuje!), a także pełnokrwisty *stalking*. Potrafił bowiem objawić się, niewysoki *deus ex machina* z papierosem, wszędzie tam, gdzie skierowałam kroki. Wspominał też niejednokrotnie o możliwości rozwiązania spraw na wzór Wertera. Wielokrotnie dawałam za wygraną i twierdziłam, że tak, Kocham go, owszem, oczywiście, że zostanę z nim do końca życia, bo był to, wierzcie mi, jedyny niezawodny sposób na to, żeby przestał mnie dręczyć i by zostawił mnie na krótką chwilę w spokoju. Tłumaczyłam sobie, że może naprawdę go Kocham, bo kto by, na litość boską, mógł to wszystko wytrzymać, gdyby nie kochał? Kto normalny trafiłby w ten sposób krótkie lata wczesnej młodości; kto nie umawiałby się na randki z miłymi chłopakami, nie szukał swoich własnych dróg dojrzewania, nie szedł przez świat tanecznym krokiem, jeśli nie miałby jakiegos Wielkiego Powodu?

Niech nikogo nie zmyli sarkastyczny ton tej opowieści – cierpienie, jakiego doznawałam pod ciężarem tej sprawy, było tak ogromne, że moją ulubioną eskapistyczną fantazją było wyobrażanie sobie, że walę głową w ścianę i rozpryskuje mi się mózg. Jedynym poważnym wydatkiem, jaki powziął podczas trwania tego związku oprócz piwa, było kupienie mi komórki, żeby zawsze móc mnie dopaść, a dziś dziękuję Bogu, że nie wynaleziono jeszcze usługi ciągłej lokalizacji, bo by mnie po prostu wykończył. Trwało to w sumie kilka lat, z wyrwanymi losowi przerwami, a na dobre udało mi się wyekstrahować z podziemnego łoża boleści dopiero, kiedy uciekałam do Warszawy, choć i tak trochę to zajęło, nawet z buforem odległości. A zrozumienie, że nie trzeba kłamać, żeby wykroić sobie swój świat, zajęło mi kolejne lata, których już nie odzyskam; podobnie długo musiałam czekać na epifanię, że być może niekiedy kogoś naprawdę, tak po prostu, interesuje to, co mówię; że intelektualna uwaga nie jest jedynie towarzyszem seksualnych potrzeb.

Wyspowiadawszy się więc, mogę już uczciwiej zapytać: co dzieje się, kiedy dorośli faceci spiąją z nastolatkami?

Kto chce sypiać z małolatą

JAK SZEROKIE JEST to zjawisko? No cóż, na pewno chcemy, by go nie było. Humbert Humbert wydaje się nam interesujący właśnie ze względu na swoją pozornie niecodzienną predylekcję; *Lolita* w swej osobliwości jest dziełem niemal zbyt drastycznym na naszą dzisiejszą wrażliwość. Kto by to dziś w ogóle czytał?

Roman Polański chciałby nas przekonać, że jest inaczej; że Bert B. i Humbert H. to tylko symptomy naturalnego, libidinalnego trendu. Jakiś czas po odbyciu stosunku seksualnego z trzynastoletnią Samantha Gaily [obecnie Geimer – przyp. red.], w wywiadzie udzielonym Martinowi Amisowi Polański skarżył się na media, niezwykle zainteresowane jego procesem. „Zdaję sobie sprawę, że jeśli bym kogoś zabił, nie byłoby to dla prasy tak atrakcyjne, rozumiesz? Ale widzisz, pieprzenie; i młode dziewczęta. Sędziowie chcą pieprzyć młode dziewczęta. Przysięgli chcą pieprzyć młode dziewczęta. Wszyscy chcą pieprzyć młode dziewczęta” (przeł. K.L.). *Everyone wants to fuck young girls!*

Zgodziłby się z nim na pewno inny reżyser, Woody Allen. Poślubił on swoją *de facto* pasierbicę, adoptowaną córkę swojej pierwszej żony Mii Farrow, Soon-Yi Previn. Podobno czekali z romanssem, aż Soon-Yi osiągnie pełnoletniość, choć trudno w to uwierzyć komuś, kogo bohater w filmie *Manhattan* radośnie opowiada o swojej dziewczynie: „Ona ma siedemnaście lat. Ja mam czterdzieści dwa, a ona siedemnaście. Jestem starszy od jej ojca, masz pojęcie?”. Być może Allen czerpał inspirację od innego reżysera, lubiącego występować w swoich filmach, legendarnego Charliego Chaplina, który się starzał, jak to ludzie, ale jego nowe miłości zawsze miały mniej więcej szesnaście lat (pierwszą żonę, szesnastoletnią Mildred Harris, poznał, mając lat dwadzieścia dziewięć; drugą, również szesnastoletnią, Litę Grey, poślubił, gdy miał trzydzieści pięć lat; zakończył karierę amanta w wieku lat pięćdziesięciu czterech, żeniąc się po raz czwarty, tym razem z jakże dojrzałą, bo aż osiemnastoletnią Ooną O’Neill). W wieku oblubienic Chaplina była też Sophie Marceau, kiedy weszła w związek z Andrzejem Żuławskim, który był już wtedy po czterdziestce – być może sławni reżyserzy po prostu tak mają.

I muzycy. Oni mają tak nawet bardziej. Od Davida Bowie, który rozdziewiczył czternastoletnią Lori Maddox, po Micka Jaggera, przez Stevena Tylera, Iggy’ego Popa i Jimmy’ego Page’a, który przejął tę samą Lori od Davida, rock zawsze był pełen panów, którzy chętnie sięgali po młodziutkie dziewczęta. Piosenkarka Aaliyah Haughton miała piętnaście lat, kiedy nielegalnie poślubił ją producent R. Kelly, starszy od niej o dwanaście lat (trzeba przyznać Kelly’emu, że miał rozmach, nazywając

W wieku oblubienic Chaplina była też Sophie Marceau, kiedy weszła w związek z Andrzejem Żuławskim, który był już wtedy po czterdziestce – być może sławni reżyserzy po prostu tak mają.



Zuzanna i starcy to motyw starotestamentowy. Dwóch sędziów zakochuje się w dziewczynie, a gdy odrzuca ich zaloty, urażeni oskarżają ją o cudzołóstwo, za co grozi jej ukamienowanie.

Jest to najwcześniejszy znany obraz siedemnastoletniej Artemizji. Rok po jego namalowaniu została zgwałcona przez współpracownika ojca, Agostino Tassiego, który uczył ją zasad perspektywy.

debiutancki album piosenkarki *Age Ain't Nothing but a Number – Wiek to tylko liczba*). Ted Nugent, nie mogąc legalnie poślubić swojej niepełnoletniej dziewczyny, uczynił się jej prawnym opiekunem i nagrał piosenkę *Jailbait* (termin oznacza dziewczę tak nieletnie, że można przez nie skończyć w więzieniu), w której śpiewa: „Nie obchodzi mnie, że masz tylko trzynaście lat / Wyglądasz zbyt pięknie, byś była prawdziwa” [przeł. K.L.]. Elvis Presley spotkał Priscillę, kiedy miała czternaście lat. Najwyraźniej jeśli za mundurem panny sznurem, to za gitarą nastolatki chmarą.

Zresztą nie trzeba mieć gitary, wystarczy rymować. Moje piętnastoletnie dziecko wyłuszczyło mi właśnie szczegóły bitwy raperskiej między Kendrickiem Lamerem a Drake’em, w której Lamar mówi do rywala *Tryna strike a chord and it's probably A-minor* – korzystając z homonimiczności słowa „nieletnia” i nazwy akordu „a” w angielskim, sugeruje, że Drake sypia z dziewczynkami (podobno, twierdzi dziecko, wszyscy to wiedzą; nie weryfikuję jego źródeł). Nasi polscy muzycy nie pozostają tu zresztą w tyle, jak miałam się okazję przekonać bardzo dawno temu na festiwalu, na który poszłam z nastoletnimi koleżankami z klasy, posłuchać pewnego zespołu, który śpiewa między innymi pieśń o słowach „Była namiętna / bardzo nieletnia...”. Po koncercie pobiegliśmy pod scenę podziękować muzykom, ale zamiast ładnie wyłuszczyć nam, że już teraz wiedzą, że dni są tylko po to, by do nas wracać każdą nocą złotą, zaczęli składać nam dość wulgarnie nieprzystojne propozycje, w związku z czym wzięliśmy nogi za pas. Nie zdziwiłoby to Tymona Tymańskiego, który w 2001 roku porzucił swoją żonę dla młodszej o prawie dwadzieścia lat, piętnastoletniej Sary Brylewskiej, córki przyjaciela. Tymański mówił Kubie Wojewódzkiemu, że Sara zakochała się w nim, kiedy miała nieco ponad trzynaście lat, a gdy Wojewódzki dopytywał, czy już wtedy ze sobą sypiali, oburzył się, że Kuba „robi z niego Polańskiego”. A jednak mówił trochę jak Polański: „Wydaje mi się, że ludzie zazdroszczą. Faceci zazdroszczą” – komentował. *Everyone wants to fuck young girls*, twierdzi Tymon T. Tyle, że niektórzy w show-biznesie zazdrościć nie muszą, bo sami sypiają z małoletnimi: „Znam kumpli, ty też znasz, którzy są z piętnastkami raz, na wieczór na przykład” – dodawał.

Ale nie trzeba być muzykiem, reżyserem czy księciem Andrzejem, żeby podróżować na metaforyczną (czy też faktyczną) wyspę Jeffreya Epsteina. Polskim internetem wstrząsnęła niedawno afera Pandora Gate – twórcy Kopnopsky i Sylwester Wardęga ujawnili, że nasi rodzimi ćwierć-celebryci, influencerzy z YouTube’a, mają mocne predylekcje do żeńskiej młodzieży. Niejaki Stuu (Stuart Burton), jeden z najsłynniejszych polskich youtuberów, miał w zwyczaju spotykać się z małoletnimi dziewczętami albo pisywać do trzynasto- i czternastolatek

Elvis Presley spotkał Priscillę, kiedy miała czternaście lat. Najwyraźniej jeśli za mundurem panny sznurem, to za gitarą nastolatki chmarą.

o swoich marzeniach i snach, na przykład tak: „miałś takie białe majteczki / I tak były na brzeg (...) odstawione i było widać wszystko :P / i podeszłem do ciebie z twardym penisem...” [tu i dalej pisownia oryginalna – przyp. red.] – reszty wam oszczędzę, bo żadna ze Stuu Anaïs Nin. Kiedy w wymianie SMS-owej znajoma Stuu, Justyna Sukanek, atakuje go za jego stosunki z nieletnimi i przepowiada, że pójdzie kiedyś siedzieć, Stuu też poniekąd przywołuje myśl Polańskiego, o naturalności i powszechności pożądania małołata: „Jakbym ja miał iść siedzieć to / połowa polski też lol / i 70 procent polskiego youtubea”.

Wiadomości Stuu są fascynujące z jeszcze jednego powodu: z przytomnością umysłu godną Zorro fechtuje on relatywizmem kulturowym w celu wygrania sporu z Sukanek, twierdząc, że Polański ma rację co do natury pożądania; tylko że niektóre kultury uznają to pożądanie za grzeszne: „Pojęcie wiekowe jest uzasadnione od kraju i praw które są (...) Bo w innych krajach od 12 uważają, że jest ok / Według natury jest od kiedy laska ma okres / Więc pewnie też od 12 / Ale społeczność wszędzie decyduje swoje (...) Ty strasznie prosto na to patrzysz / Wgl nie myślisz logicznie co do tego (...) Tylko i wyłącznie uzależnione od tego gdzie mieszkasz / to nie znaczy że jest dobre czy złe”. Tę samą myśl powtarza w wiadomościach do potencjalnej ofiary: „Wszystkie prawa, zasady, socjalne wymyślenia / które i tak tworzone są przez ludzi / w Mexico od 12 mogą się ruchać / W Anglii 16 / ale kto nam zabroni czuć co czujemy”.

Co ciekawe, niemal identycznych argumentów, choć w odrobinę innym stylu, używa Humbert Humbert, pod różując po kulturach:

Małżeństwo i wspólne pożycie przed okresem pokwitania nadal są dość powszechne w pewnych prowincjach Indii Wschodnich. Osiemdziesięcioletni starcy z plemienia Lepcha kopulują z ośmioletnimi dziewczynkami i nikomu to nie wadzi. Wszak Dante oszalał dla swojej Beatrycze, kiedy miała dziewięć lat, roziskrzona dziewczeczka, umalowana i uroczą, cała w klejnotach, w purpurowej sukni, i to w roku 1274, we Florencji, podczas prywatnej biesiady w miłym miesiącu maju. A gdy z kolei Petrarka oszalał dla swej Laurki, była ona jasnowłosa nimfietką lat zaledwie dwunastu i biegła wśród podmuchów wiatru, w obłoku pyłków kwietnych i kurzu – kwiat w locie, na pięknej równinie ujranej ze wzgórza Vaucluse (przeł. Michał Kłobukowski).

Potem, kiedy Lolita jest już w jego wyłącznej mocy, Humbert czytuje jej książki o innych krajach, na przykład o Sycylii, na której – podobno – ojcowie mogą sypiać z córkami. No i proszę, jednak i dla relatywisty Humberta koniec końców niektóre kultury okazują się jednak być lepsze od innych: „Podziwiam Sycylińczyków, Lo! to

wspaniali atleci, świetni muzycy, wspaniali, uczciwi ludzie i świetni kochankowie” (przeł. Robert Stiller).

Łypanie w stronę nastolatki nie ogranicza się do świata celebrytów i światka *quasi*-celebrytów. W 2023 roku portal BuzzFeed poprosił czytelniczki, które jako nastolatki miały relacje z dorosłymi mężczyznami, o podzielenie się swoimi historiami. Odzew był ogromny i możemy dzisiaj przeczytać masę opowieści: „Miałam osiemnaście lat i poszłam na wesele (...) On miał trzydzieści jeden lat. Potem zaprosił mnie do hotelu. Byłam naiwna, młoda i zdenerwowana, więc się zgodziłam”. „Miałam czternaście lat, mój ojciec był alkoholiczkiem (...) Uwaga dwudziestosiedmioletniego sąsiada sprawiła, że czułam się wyjątkowa. Mówił wszystkie rzeczy, których potrzebowało strauumatyzowane dziecko; tak pragnęłam uwagi i miłości. (...) Kiedy mama ponownie wyszła za mąż, przeprowadziłam się do niego” (przeł. K.L.). W opowieściach czytelniczek możemy poznać licealistki w relacjach z nauczycielami i przyjaciółmi rodziny; sąsiadami i liderami kółek artystycznych. Być może Polański miał rację – *everyone wants to fuck young girls*?

Nauka jest jednak trochę bardziej konserwatywna w swoich szacunkach; aż się prosi, by użyć hasztagu, który zrobił karierę podczas przebudzenia ruchu #Me-Too, czyli #NotAllMen. Badania z 2023 roku, pod przewodnictwem profesora Michaela Saltera z australijskiego Uniwersytetu Nowej Południowej Walii w Sydney, pokazały, że mężczyźni, których pociągają seksualnie nastolatki, to nieco ponad 15 procent populacji. Zidentyfikowano tę grupę na trzy sposoby – albo powiedzieli to wprost, albo zaznaczyli wiek poniżej pełnoletniości jako najbardziej atrakcyjny, albo przyznali, że gdyby mieli pewność, że nikt się nigdy nie dowie, chętnie odbyliby stosunek z dziewczynką poniżej czternastego roku życia. Te 15 procent to przecież nie wszyscy – ale wciąż całkiem sporo.

Tyle, że duża część tej grupy być może szczyli się samokontrolą, która pozwala im prowadzić życie ludzi cywilizowanych, a więc takich, którzy nie podążają bezmyślnie za chucią i popędem. Niewiele jest pragnień instynktownych i nagich, które w tym samym kształcie przetrwałyby, przeniesione w radykalnie inne kultury – ale to, co w pociągu do młodzieńskich dziewcząt jest „naturalnego”, pierwotnego, pozakulturowego, może zostać, u porządnego obywatela zachodniej cywilizacji, jego tajemnicą; może wylądować w tej samej kategorii, co pojawiające się nam wszystkim natrętne myśli o duszeniu szefa czy utopieniu twarzy współbiedniaka w torcie. Jak rozszerzyć zasięg cywilizacji? Zastąpić nacisk na dziewczęcą opiekę nad męską chucią (nie ubieraj, nie chodź, nie pokazuj) prawdziwą pomocą dla mężczyzn w kontrolowaniu swoich „chceń”.

A jednak wielu nie potrafi trzymać tej tajemnicy dla siebie. Znajomy profesor mówi mi raz majowego dnia,

kiedy przechadzamy się po kampusie uniwersyteckim: „Nie chcę osiwieć. Dlaczego? Bo wtedy nie będę mógł patrzeć bezwstydnie na rozpłożone po trawie, świeże, wiosenne studentki”. Znajomy przyjaciółki wyklada jej z przejęciem: „Im starszy się robię, tym bardziej czuję magię, jaka płynie z bardzo młodej dziewczyny”. Kolega wyjaśnia mi, jak odpornej uczennicy: „No po prostu lubię skórę młodych dziewczyn, im młodsza skóra, tym bardziej sprężysta”. Kto otworzy i przeczyści łufciki pamięci, zostanie zalany podobnymi cytatami; każda kobieta po trzydziestce słyszała ich już całe mnóstwo, nawet jeśli na co dzień nie bywa w męskich szatniach.

Bert Bert nie był jedynym nauczycielem z mojego miasta, który szukał swojej Beatrycze, chodząc po ponurych, poklasztornych korytarzach starego liceum, gdzieś tam tylko oświetlonych słonecznymi smugami, w których tańczył ożłocony kurz. Byli też inni – baci „młodszy”, jeszcze nieposiwiali mężczyźni, których postawiono za katedrą w tamtych rejonach geograficznych (czy to duch Karkonoszy, wiatr znad Jakuszyca, czy inna zaraza, trudno stwierdzić), wydawali się niezdołni do zwyczajnego prowadzenia lekcji; niestrudzenie infiltrowali towarzyskie grupy dziewcząt podczas wycieczek i wypadów – były nawet przypadki pojęcia obiektu za żonę. Jedynie mój polonista twardo zawsze stał po dobrej stronie mocy, bo choć był wrażliwy na piękno, jak mniemam także fizyczne, potrafił wspierać, nie wikłając uczennic w toksyczne układy luźno wzorowane na (*no men omen*) stosunku mistrz–uczeń. Na studiach sytuacja tylko się zagałęściła – dość powiedzieć, że znam bardzo blisko dwa profesorsko-studenckie małżeństwa; przy najmniej jedno z nich szczęśliwe.

Kiedy myślę o tym, czy pragnienie opisane przez Polańskiego jest w istocie tak naturalne, przypomina mi się fragment z powieści *Botanika duszy* Elizabeth Gilbert (tak, to ta od *Jedź, módl się, kochaj*; nie, nie każda jej powieść jest trywialna, a ta – wręcz świetna). Jest rok 1809; wieś w Stanach Zjednoczonych; noc. Pod dom bohaterki podchodzi grupa mężczyzn – stróże prawa, pracownicy fizyczni – i prowadzą ze sobą dziewczynkę – Polly. Wydarzyła się tragedia: dziewczynka została sierotą. Polly jest piękna „jak idealna mała figurka”. „Ale to drobne różowe poduszeczki warg czyniły dziewczynkę więcej niż po prostu ładną; zamieniały ją w małą, niepokojąco rozkoszny cukiereczek, wykutą w miniaturze Batszebę” – czytamy i mamy okazję obserwować reakcję dwóch starszych kobiet, Beatrix i Hanneke, które stawiają czoła prowadzącą dziewczynkę mężczyznom, a wśród nich wielu już głośno deklaruje chęć zajęcia się małą. „Dwie kobiety jednomyślnie wyrwały Polly z rąk mężczyzn (...) Nie była to przemyślana decyzja. Nie był to również gest miłosierdzia, spowity ciepłą opończą matczynej dobroci. Nie, to był czyn spowodowany wyłącznie intuicją, płynącą

Badania z 2023 roku pokazały, że mężczyźni, których pociągają seksualnie nastolatki, to nieco ponad 15 procent populacji. Te 15 procent to przecież nie wszyscy – ale wciąż całkiem sporo.

z głębokiego, niewypowiedzianego źródła kobiecej wiedzy o tym, jak funkcjonuje świat. Nie zostawia się w środku nocy samej i bez opieki tak małej i tak ślicznej kobiecej istoty z dziesiątką rozochoconych chłopów” (przeł. Ewa Ledóchowicz). Gilbert, innymi słowy, zgadza się tu z Polańskim, tyle że zamiast opisywać ten fakt z punktu widzenia męskiej chuci, wybiera perspektywę kobiety w średnim wieku – wszyscy chcą pieprzyć młode dziewczyny, więc cóż; trzeba nauczyć się je chronić.

Może więc historia Humberta i jego nastoletniej ulubienicy nie jest aż tak niesłychana, może została tylko uwypuklona (dziewczkę młodsze, obsesja większa; on *quasi*-ojczym, a nie „jedynie” nauczyciel). Dederer przyjmuje do wiadomości to, co mówi Polański, i na tej podstawie broni prawa do istnienia *Lolity*: „Po co Nabokov miałby opowiadać historię Humberta? Bo jak mówi nam Polański, to zwyczajna ludzka historia. Jest przerażająca, odrażająca i nie do pomyślenia, i wydarza się cały czas. Dlatego jest właściwym tematem dla pisarza”.

ERIC GILL, *Lalka dla Petry* (1910), domena publiczna

Rzeźba dla czteroletniej córki. Artysta zaczął wykorzystywać seksualnie ją i jej siostrę Betty, gdy były nastolatkami. Zachowały się jego notatki zapisanymi dokładnymi wymiarami różnych części ciała córek obok jego własnych, w tym rozmiary penisa w stanie wzwodu i zwiotczenia. Eric Gill to także typograf, autor kroju pisma Gill Sans.



Dlaczego nastolatki

—
ALE JEŚLI NAPRAWDĘ tyłu mężczyźni chcą pieprzyć młode dziewczyny – sędziowie, przysięgli, nauczyciele z Dolnego Śląska – to co dokładnie ich pociąga w tej demografii?

Spróbujmy zrozumieć. Bo jasne, nie można młodym dziewczętom odmówić wysokiej zawartości kolagenu w skórze, równomiernego rozłożenia melaniny czy ogólnej sprężystości, ale niektórzy przysięgaliby, że dwudziestosiedmioletnia kobieta nadal całkiem nieźle opiera się grawitacji, a przy tym jest, no wiecie, dorosła, z mózgiem okrzepłym po okresie dojrzewania – i, co dla niektórych może być istotne, legalna. Muszą grać tu rolę kwestie nieco mniej oczywiste – a jedną z nich jest podobno aspekt pierwszej ręki, czyli braku zużycia. Jak to ujął, odpowiadając na pytanie „Dlaczego nastolatki są takie atrakcyjne?”, pewien złotousty użytkownik forum Quora, William Klaus: „Jak kupujesz nowe opony do samochodu, to mają takie gumowe włoski na bieżniku; które się trzymają tylko przez pierwsze tysiąc mil. I nastolatki po prostu ciągle mają swoje włoski na bieżniku” (przeł. K.L.). Nastolatka przywołuje pierwotną przyjemność na początku: jest świeżą oponą, ale i owocem z nienaruszoną skórą, który zerwało się prosto z drzewa.

Rozumiem to. W szkole dzieliłyśmy się drugim śniadaniem z innymi dziewczynkami i zawsze kłóciłyśmy się, która ma pierwsza ugryźć jabłko – tylko ta miała z tego prawdziwą przyjemność i tylko ona mogła wydać pierwszy werdykt („Dobre” albo „Kaszaste!”). *Unboxing*, jeden z najbardziej wiralowych trendów w sieci [relacja wideo polegająca na otwieraniu paczki ze świeżo zakupionym i dopiero co dostarczonym produktem – przyp. red.], pozwala widzom uczestniczyć w przyjemności odkrywania na własność, a w czasach, gdy zarzuciliśmy obsesję fizycznego dziewictwa, utożsamiamy świeżość nie tyle z błoną, co z wiekiem. W *unboxingu* nowego iPhone’a chodzi o to, że jesteśmy pierwszymi, którzy zdzierają foliowy film z ekranu; nikogo nie było tam przed nami. Ale w *unboxingu* dziewczyny, której nikt wcześniej nie dotykał, dochodzi jeszcze jedna korzyść: sama dziewczyna nie wie, jak to jest być dotykana. Poprzednicy bowiem nie tylko brukają przedmiot odciskami brudnych palców, jak przy telefonie, ale pozwalają się uczyć samemu przedmiotowi, stanowią potencjalny wehikuł niebezpiecznej dojrzałości. Mój prawie czterdziestoletni trener: „Po dwudziestym piątym roku życia dziewczyna ma już za dużo doświadczenia i się wycwania”.

Są też inne powody. Pożądanie – jak pisze na przykład Weronika Murek w książce *Dziewczynki. Kilka esejów o stawianiu się* – domaga się tajemnicy. Murek cytuje Grahama Vickersa, który twierdzi, że kobiety są dziś już

zbyt bliskie mężczyznom; stały się ich partnerkami, a co zbyt do nas podobne, przestaje być ponętne. Kobieta była tajemnicą, ale – co zauważyła Simone de Beauvoir – jej tajemniczość była w istocie niedołóstwem słuchania. Co, jeśli mężczyźni zdołali ją usłyszeć (albo ona zdołała się do nich dokrzyzczeć)? Co, jeśli nie da się już ignorować jej słów? Wtedy przychodzi zwykłość, a z nią znika dreszcz, który towarzyszy dotknięciu nieznanego. „Żeby więc na nowo sięgnąć po nieznanne, wyobraźnia podsuwa: trzeba naruszyć przestrzeń czasu, różnicę wieku. Stąd zatem dziewczynki (...)” – pisze Murek. To świetny ruch z perspektywy pożądającego, bo nastolatki są o wiele lepszą tajemnicą niż kobiety – dlatego, że same siebie jeszcze nie znają. Prawdziwy sekret jest tak sekretny, że ukrywa się przed samym sobą: „Inny musi być Innym także dla siebie, musi subiektywnie odczuwać swoją odrębność – Tajemnica nie sama w sobie, ale także dla samej siebie”. Ach, wejść do pokoju nastolatki, zobaczyć te wszystkie pamiątniczki, zdjęcia, porozrzucane atrybuty kształtującej się dopiero osobowości – czyż nie jest to najprawdziwsze, najodleglejsze królestwo Innego?

Bliskość dzieciństwa jest więc czymś, co podbija wartość obiektu na wiele różnych sposobów: po pierwsze, przez gwarancję włosków na bieżniku, po drugie, dając rękomię seksualnej i życiowej naiwności, a po trzecie dlatego, że dziewczęce dzieciństwo jest dla mężczyzny krainą największych tajemnic. Jest jednak jeszcze jeden powód, na styku pożądania i estetyki, a mianowicie taki: skupienie się na obiekcie nastoletnim pozwala się przenikać dwóm niezwykle powabnym porządkom estetycznym, niewinnemu i seksualnemu, które po nałożeniu się na siebie wywołują osobliwy, dialektyczny dreszcz. Widzimy to na przykład u dwunastoletniej Danusi Henryka Sienkiewicza, której piękno świeci jaśniej właśnie dzięki możliwości infantylizacji: „Na głowie miała wianeczek, włosy puszczone po ramionach, suknię niebieską i czerwone trzewiczki z długimi końcami. Stojąc na ławce, wydawała się małym dzieckiem, ale zarazem przecudnym jakby jakąś figurka z kościoła albo z jaśleczek” [podkreślenie moje] – czytamy w *Krzyżakach*.

Słynna sesja zdjęciowa nastoletniej Britney Spears autorstwa Dave’a LaChapelle’a dla magazynu „Rolling Stone”, która wywindowała ją do pozycji „symbolu seksu”, udostępnia oczom widzów naraz jej roznegliżowane ciało i jej dziecięce lalki – podobno Britney naprawdę myślała, że fotograf jest zainteresowany jej zabawkami, tymczasem on owszem, interesował się nimi, ale tylko w kontekście jej młodego biustu. Chapelle wiedział, że i lalki, i biust, są ciekawe – ale dopiero wymieszanie biustu z lalką daje prawdziwy koktajl Mołotowa.

To mieszanie estetyk najwyraźniej miewa tak wybuchowy efekt seksualny, że znaczni dziecięcości przenikają wręcz do *mainstreamu* jako zasadniczo akceptowalne

już znaczni dopuszczalnych, oswojonych perwersji. Szkolny mundur funkcjonuje jako powszechnie rozpoznawalny fetysz, niezależnie od tego, czy odziewa bohaterki anime w rodzaju Czarodziejki z Księżyca, ulubienicy piwnicznych marzycieli, czy też rozpina się na biuście Spears w szkolnym teledysku *Hit Me Baby One More Time*. Oczywiście same właścicielki mundurka najczęściej nie zdają sobie sprawy z semantyki, w jaką wyposażała ich odzienie kultura priorytetyzująca męskie, heteroseksualne spojrzenie, stąd na przykład oburzenie rozmówczyni Laury Bates, która zbiera dowody na poniżenie kobiet w projekcie *Everyday Sexism (Seksizm codzienny)*. Dziewczyna mówi jej: „Mam piętnaście lat i niedawno jakiś podejrzany mężczyzna przywitał mnie na ulicy «Cześć, seksowna» (...) Mężczyźni krzyczeli już za mną «Hej mała» albo «Jesteś sexy», kiedy wracałam ze szkoły W MUNDURKU!” [przeł. K.L.] – najwyraźniej nie rozumie, że nawoływania mogły nie odbywać się mimo mundurka, ale choć zabrzmiało to fatalnie, dzięki niemu. Podobną funkcję pełnią też sukienki typu *baby doll*, warkoczyki lub kucyki, opadające podkolanówki, guma do żucia czy buty z paseczkiem o kroju znanym jako *Mary Jane*; wszystkie można zobaczyć, razem, osobno, lub w podgrupach w filmach pornograficznych wyszukiwanych terminem *step daughter* (pasierbica), co jest *de facto* kodem na problematyczny prawnie dla Pornhubów i Redtube’ów termin *teen* (nastolatka).

W tych samych filmach mamy do czynienia, niemal uniwersalnie, z całkowicie wygolonym łonem, aluzją do niedojrzałości płciowej (i częstym wezwaniem: *Give it to me, daddy!*). Niejaka Fagata, twórczyni internetowa, była (oficjalna) dziewczyna wyżej wspomnianego Stuu, która nie była nieletnia, kiedy trwał ich związek, skarży się w filmiku (można go obejrzeć w sieci), że Stuu absolutnie nie życzy sobie „ani jednego włoska”, ma być tam „zupełnie gładko”, bo inaczej bardzo się denerwuje (i – można sądzić – zaczyna rozumieć, że Fagata nie jest wystarczająco dla niego młoda; a więc nie jest nową zabawką, a więc kupił ją w komisie, a więc powinien ją tam jak najszybciej oddać). Udzielenie dorosłej dziewczyny, ogolenie jej i uczesanie w warkoczyki jest w końcu jako takim sposobem na przeżycie dalekiego krewnego uniesienia, jakiego doświadczał Humbert Humbert, oglądając rozbitą na libidogenne szkiełka Lolitę.

Być może Humbert widzi Lo zawsze we fragmentach („Moje cudo leżało na brzuchu, pokazując mi – pokazując tysiącowi oczu, które wytrzeszczała moja wielooka krew – lekko wystające łopatki, puszek w żłobie grzbietu, prężne obrzmienia wąskich pośladków opiętych czernią i księstwo udzielne ud uczennicy”) dlatego, że to właśnie dojrzałość konsoliduje osobę w całość. Pornograficzny charakter obrazu zawsze koncentruje się na urywkach – wpisz w wyszukiwarkę „duży biust”, „tylna dziurka”,

Podobno Britney myślała, że fotograf jest zainteresowany jej zabawkami, tymczasem on owszem, interesował się nimi, ale tylko w kontekście jej młodego biustu.

„stopy” – przejście od uprzedmiotawiającej instrumentalizacji do zobaczenia całości osoby wymaga abstrahowania od cielesnych szczegółów. Oczywiście pewien stopień uprzedmiotowienia jest nie tylko właściwy, ale wręcz niezbędny w relacjach seksualnych, pisze o tym choćby Martha Nussbaum w swoim eseju z 1995 roku, *Objectification* – w istocie satysfakcjonujący seks domaga się, byśmy mogli zobaczyć się wzajemnie jako narzędzia przyjemności. Ale czytając Humberta Humberta, nie można odnieść wrażenia, że jeśli w ogóle ujrzy on Lo jako podmiot, to dopiero dzięki radykalnej agregacji puszków, pukli, zagięć i wystających kosteczek, podczas gdy dorosła kobieta najpierw prezentuje się jako podmiot, a dopiero potem może zostać rozebrana, w akcie seksualnym, na fragmenty służące podnieceniu.

Kobieta bowiem istnieje. Tak jak Charlotte Haze, matka Lolity, jedyna prawdziwie dorosła osoba, jaką napotyka na kartach Nabokova, która dla Humberta istnieje wręcz za bardzo (wciąż fantazjuje o jej śmierci, która otworzy mu drogę do Lo). Nie może jej jednak unicestwić. Kiedy nadarza się idealna okazja, by utopić Charlotte, Humbert mówi: „Ale co wy powiecie... Ludzie! ja nie mogłem się do tego zmusić (...) A ja, ludzie, po prostu nie mogłem!”. Nie powstrzymuje go ani moralność, ani to, że brzydzi się aktem zabijania; „Och, mogłem sobie doskonale wyobrazić, jak biję, aż odlatują w bok piersi Walerii, lub inaczej robię jej krzywdę; i mogłem przedstawić sobie nie mniej wyraźnie, jak strzelam jej kochankowi w podbrzusze, a on mówi – Akh! – i osuwa się. Ale nie mogłem zabić Charlotte”. Dlaczego? Bo Charlotte, najzwyczajniej w świecie, ma charakter, jest osobą. Mimo posiadania „ociężałego, kraciastego po szkocku zadu” i innych, „foczych” i „wielorybich” atrybutów, których opisów nie szczędzi nam narrator esteta, jest, najzwyczajniej w świecie, moralnie biegła: „Odróżniłaby z miejsca fałszywą intonację we wszystkim, co bym powiedział w celu zatrzymania przy sobie Lo (...) Więc taki to był klops”. Najbardziej złości Humberta właśnie fakt, że okrzepła moralność Charlotte czyni ją odporną na kontrolę: „Prawna amerykańska Charlotte przerażała mnie. Nic nie wyszło z beztrojskiego urojenia, że będę nią rządził przez jej namiętność do mnie” (przeł. Robert Stiller).

Innymi słowy, być może łatwiej jest uprzedmiotawiać nastolatki – są one wciąż jeszcze abstraktem, projektem człowieka, szkicem; woreczkiem z kuleczkami ze szkła, z których każda jest kawałkiem narzuconego z zewnątrz dyskursu. Nastolatka jest tajemnicą, ponieważ nie do końca istnieje; to nie młoda osoba, to w istocie garść memów. Tak przynajmniej myślał Humbert, bo w tych rzadkich momentach, kiedy słucha Dolores, słyszy tylko nieznośne urywki popkultury. Ale w tym niedokończonym szkicu, jakim jest młodzieńcze dziewczę, kryje się jeszcze jeden, być może największy, bonus

Kobiety, które opisują swoje wczesne doświadczenia ze starszymi mężczyznami, najczęściej tłumaczą sobie ich zainteresowanie właśnie męską kontrolą.

unboxingu. To obietnica zaspokojenia jednego z najstarszych instynktów *homo sapiens*: potrzeby tworzenia.

W *Metamorfozach* Owidiusza czytamy o Pigmalionie: „Pigmalion, widząc żywot Propetyd gorszący / Zniechęcił się do kobiet, grzechu szukających, / A nie znając miłości, żył sam i bez żony”. Biedny, zniechęcony Pigmalion siedzi więc tylko w swojej pracowni i rzeźbi, a co wyrzeźbił, to już wszyscy wiemy: „Pod jego dłutem piękność cudowna wstawała, / Której żadna kobieta jeszcze nie sprostała”. Początkiem historii o Pigmalionie i Galatei nie jest więc, jak myślą niektórzy, niespodziewane piękno stworzonego posągu, które Pigmaliona zaskakuje i budzi jego miłość. Historia zaczyna się od czegoś w rodzaju starożytnej wersji incelstwa: Pigmalion nie ma żony i wszystkie kobiety wydają mu się niedobre i niemile. Jakie jest z tego wyjście? Ano zrobić sobie własną.

W tym micie, powtórzonym w kulturze po tysiącokroć, choćby w *My Fair Lady*, a ostatnio w *Problemie trzech ciał* Cixin Liu, gdzie mężczyzna, na którym spoczywa los Ziemi, wyobraża sobie idealną kobietę i w końcu zostaje mu ona „dostarczona”, zbiega się narcystyczna potrzeba całkowitego dopasowania obiektu pożądania do pożądającego, totalnej nad nim kontroli i fantazja na temat własnej omnipotencji twórczej. Owładnięte rozwojowym narcyzmem dziecko pragnie mieć szczeniaka, coś, nad czym będzie sprawować kontrolę, co można wychować i stworzyć idealnego, wymarzonego przyjaciela, który nigdy go nie opuści. Dorosły mężczyzna, który wybiera nastolatkę na swój obiekt, jest być może wiedziony tym samym instynktem – o, być naprawdę bezpiecznym w miłości poprzez samodzielne stworzenie obiektu kochania! Te same potrzeby ujawniały się raz po raz w Bercie Bercie – kiedy po moich triumfach w konkursach przedmiotowych mówił, że cieszy się, bo miał takie wrażenie, że „jestem jego”, że mnie „stworzył”, albo kiedy próbując mnie delikatnie zmanipulować, przywołał przykład nauczyciela z innej szkoły ożenionego z byłą uczennicą („Może fajnie byłoby znaleźć sobie taką z pierwszej klasy znowu i ją od samego początku dobrze sobie wychować” – żartował).

Kobiety, które opisują swoje wczesne doświadczenia ze starszymi mężczyznami, najczęściej tłumaczą sobie ich zainteresowanie właśnie męską potrzebą kontroli. Moira Donegan w „Guardianie” pisze o tym, jak duża część dziewczęcej nastoletniości „polega na nawigowaniu pożądania seksualnego o wiele starszych mężczyzn” i pisze o własnych przygodach: „Moja wczesna młodość nie tylko nie odstraszała ich seksualnie; była raczej częścią mojej atrakcyjności: była sygnałem ignorancji, naiwności i niepewności, które mężczyźni tak lubią w kobietach, bo sprawiają, że łatwiej mieć nad nami kontrolę” (przeł. K.L.). Dziennikarka Amy Fleming, także w „Guardianie”, analizuje sprawę Russella Branda, oskarżonego o *grooming* i gwałt na szesnastoletniej dziewczynie